№ 15.

Warszawa, dnia 11 Kwietnia 1863 r. 30 Marca.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).
Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki,** prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom daw iéj Krzemińskiego.*

MICHAŁ GLIŃSKI W WIĘZIENIU

WSPOMNIENIE HISTORYCZNE

z powodu obrazu p. Millera, znajdującego się na Wystawie Sztuk Pięknych w Warszawie.

(Dalszy ciąg).

Usunąwszy kniaź Gliński od boku królewskiego, wszystkich sobie niechętnych, niebezpiecznych rodem i bogactwem wyzuwszy z urzędów i godności, mając zabezpieczoną władzę nad całą Litwą w razie śmierci królewskiéj, mógł zaiste pan tak przemożny i tylu obdarzony nabytkami cywilizacji, zamarzyć o czemść więcéj, jak o pierwszych, a choćby i najpierwszych dygnitarstwach Litwy lub Korony. Nie ma też wątpliwości, że oderwanie Litwy z Rusią i potem udzielne zapanowanie nad niemi, było celem marzeń i dążności pana Michała: ale w planach swych przerachował się, bo oparłszy wszystko na zdobytych łaskach u chorego króla Aleksandra, zapomniał że dni tego są już bardzo nieliczne, i że ci panowie, których przycisnął twardą ręką zyskanéj przez siebie władzy, zwrócili się do brata królewskiego Zygmunta, przyszłego monarchy Polski, który nie będzie patrzył obojętném okiem na jego zabiegi i działania. To też gdy z dnia 18 na 19 Sierpnia roku pańskiego 1506, na zamku dzwon pogrzebowy zwiastował smutną wiadomość o śmierci króla Aleksandra, pomyślność Glińskiego zdawała się wstępować do grobu razem z ukoronowanym jego opiekunem.— Przede wszystkiem Jan Zabrzeziński oznajmił mu, że z ostatniéj woli zmarłego króla i z rozkazu pana Zygmunta Jagiełły teraźniejszego wielkiego księcia Litewskiego, uwolniony został od sprawowania urzędu Marszałka nadwornego Litewskiego, a następnie polecono mu opuszczenie skrzydła zamkowego które zajmował. Wkrótce potem, gdy grzmot dział i odgłos dzwonów zwiastował Wilnu przybycie do stolicy Litwy Zygmunta Jagiełły, przyszły monarcha witając z uprzejmością i powagą wszystkich przedstawiających mu się panów i dygnitarzy, tylko jednego Glińskiego przyjął w ponurem milczeniu i potem obrócił się z łaskawemi słowy do tych, co po nim następowali. Glin-

ski niezrażony tem, i mając nadzieję przebłagania zagniewanego króla, starał się ciągle o zbliżenie do jego osoby, i w tym celu zgromadziwszy ze swoich dóbr i zamków wielką liczbę zbrojnych ludzi, stanął z niemi w orszaku mającym towarzyszyć królowi w podróży do Krakowa. Okazałość przemożnego magnata dodająca blasku dziedzicznym krajom Zygmunta, wpłynęła pomyślnie i na usposobienie króla dla Glińskiego, ale niechęć całéj możniejszéj klassy narodu, z którą kniaź zerwał zupełnie stosunki, popsuła wszystko, i oderwała od niego niemal wszystkich zajmujących wyższe stanowisko w kraju.

A złe stało się przez to wielkie, bo nie tylko pozbawiło Polski usługi dobréj głowy i dzielnéj szabli, ale nawet zwróciła je na jéj szkodę. Gliński bowiem niezawodnie, jeżeli za życia króla Aleksandra, roił plany udzielności, to po smierci królewskiéj, pozbył się ich zupełnie, i całą obrócił dążność do zyskania łask króla Zygmunta. Ztąd to poszło ściąganie zbrojnych hufców do wileńskiéj siedziby Glińskiego, aby nowemu monarsze pokazać naocznie swą siłę i dostatki, któremi pogardzać nie godziło się; ztąd pomimo niechęci Zygmunta, ciągłe wciskanie się na pokoje wileńskiego zamku, aby zwrócić na siebie uwagę młodego księcia; ztąd nareszcie poszło owe świetne wystąpienie w podróży króla do Krakowa, mile i chętnie przez niego przyjęte. Słowem Gliński niczego nie szczędził, dla odzyskania dawnéj wziętości i znaczenia, a opierając znowu wszystko na królu, panami Korony i Litwy pomiatał zbyt pogardliwie i wszędzie im okazywał wyższość, czego oni naturalnie znieść nie mogli. Ztąd nienawiść nieprzejednana z dniem każdym wzrastała; z przymówek w których nieżałowano języka wnet przyszło do szabli, i z tego wprędce wyrodziła się walka na śmierć ukończona rzeczywiście śmiercią obu stron walczących.

Z najzapalczywszych w gniewie i najzawziętszych w nienawiści był pan Jan z Zabrzegów wojewoda Trocki. Gdy bowiem rzucone oskarżenie na Glińskiego przed Zygmuntem, zaraz po przybyciu do Wilna, o zamachy przeciw tronowi nie przyniosły kniaziowi żadnéj szkody; gdy zdawało się że gniew króla przemija i Gliński stanie wkrótce na przynależnem mu w kraju stanowisku; wtedy niechętni na nowo podnieśli głowy, a pan Jan Zabrzeziński, z którym kniaź ustawicznie szukał kłótni, ponowił skargę i zaniósł ją nie tylko przed tron, ale nawet przed zgromadzeniem panów rad i stanów. Król lękając się zaczepiać przemożnego lennika, rozstrzygnienie oskarżenia odłożył do generalnego sejmu, a coraz niechętniejszym pokazując się dla Glińskiego, odstręczył od niego wszystkich niemal panów i szlachtę, licznie go przedtem otaczających. Poznawszy trudne swe położenie, Gliński zły i niemal wściekły, opuścił Kraków, a zamieszkawszy w Wilnie, dom swój przemienił prawie w fortecę, na wały zatoczył działa, napełnił go ośmiuset żołnierzami pilną dzień i noc odbywającemi wartę, każdego wchodzącego i wychodzącego poddawał pilnemu badaniu, a kiedy jechał do miasta albo do zamku, to zawsze towarzyszyło mu więcéj niż dwudziestu szlachty i pięćdziesięciu na żołdzie utrzymywanych jeźdźców.— W ślad za swoim przewódzcą, wojsko które pan Michał ściągnął był około miasta, napadały na wioski należące do wojewody Trockiego, i popełniały bezprawia i swawole, jak gdyby w kraju nieprzyjacielskim. Pan z Zabrzegów napaść odpłacał napaścią, i krew bratnia prawie codziennie płynęła po ulicach Wilna.

Przed powrotem jeszcze z Krakowa do Wilna, Gliński żądał możności usprawiedliwienia się ze zrobionych sobie zarzutów knucia niebezpiecznych spisków przeciw krajowi, i w tym celu udał się do króla Zygmunta, lecz temu co poufale z Aleksandrem przebywał, wnijście nawet na pokoje królewskie zabronionem zostało. Tak ciężko upokorzony Gliński, chwycił się jeszcze ostatniego środka przejednania gniewu królewskiego, i ruszył w podróż do Budy do Władysława Jagiełły króla Węgierskiego i Czeskiego, a brata króla Zygmunta, aby go uprosić o pośrednictwo i wstawienie się do polskiego monarchy. Ale i to nie wywarło żadnego skutkn, niechęć Zygmunta podsycana zabiegami magnatów pozostała w jednéj mocy i Glińskiego popchnęła na drogę rozpaczy. W powrocie przeto do Wilna z Budy, Gliński objeżdżając dobra i zamki swoje, szczególniéj około Dniepru położone, rozkazał warownie poprawiać, zaciągać nowe żołnierstwo, opatrywać je w żywność, rynsztunki wojenne i wszelkie potrzeby, bo jak powiadał, nie trzeba ufać nieprzyjacielowi, i można zawsze lękać się jego wtargnienia z téj strony.— Czynność ta jeszcze większe podejrzenie rzuciła na Glińskiego, a kiedy po powrocie z Wilna ponowił nalegania o oczyszczenie swojéj sławy z oskarżenia o zbrodnią majestatu, dawano mu zawsze jedną odpowiedź, że król ma ważniejsze sprawy do załatwienia, i że tylko do jeneralnego sejmu należy wyrokować o przewinieniach podobnego rodzaju. Zniecierpliwiony Gliński postanowił jeszcze użyć ostatniego środka, i kiedy król Zygmunt wyjeżdżając do Krakowa, miał siadać do powozu, przystąpił tuż do niego i ujmując rękę królewską błagał, ażeby mu raczył dozwolić wytoczyć swoją

sprawę i oczyścić sławę z potwarzy na niego rzuconéj. Ale monarcha z gniewnem spojrzeniem, wyszarpnął mu porywczo rękę i rzekł mocnym głosem:

— Oto macie odpowiedź, panie marszałku nadworny. Odwołujecie się do naszéj sprawiedliwości, ale strzeżcie się ją obudzić, bo niech nam tak Bóg dopomoże i święte Jego słowo, że sprawiedliwość nasza znajdzie winnego i potrafi go ukarać.

Wówczas pan Michał nie mogąc powstrzymać się w gniewie, ujął za płaszcz królewski i zawołał głośno.

Poprzysięgam wam miłościwy królu, chrońcie mnie przywodzić do ostateczności, czego moglibyście i sami i ja żałować.

Król żadnéj już na to nie dał odpowiedzi, wyrwał płaszcz i szybko wybiegł z pokoju.

Wszelka więc nadzieja uzyskania sprawiedliwości znikła bezpowrotnie, i Gliński zobaczył się naraz nie tylko opuszczony od dworu, ale nawet w nienawiści całego narodu, nie mogącego znieść dumy przemożnego magnata. Niesnaski zatem czekały tylko najmniejszéj sposobności, aby się przemienić w pożar, co miał przynieść wieczystą hańbę zwycięzcy z pod Klecka. Wkrótce znalazł się powód do tego.

W sam dzień świąteczny Oczyszczenia Panny Marji w Wilnie był jarmark. Gliński z orszakiem przyjechawszy na targowisko końskie, zwrócił szczególną uwagę na pięknego rumaka arabskiego, i chciał go nabyć dla siebie. Żyd właściciel kupiec z Brodów, oświadczył, że koń ten przed chwilą został przedany Marszałkowi wielkiemu Litewskiemu Zabrzezińskiemu za dwieście czerwonych złotych. Gliński dowiedziawszy się o tem, uśmiechnął się z pogardą, jakby z radości, że znalazł sposobność dokuczenia swemu największemu wrogowi i szepnąwszy: „I na cóż tak piękny koń przyda się staremu Zabrzezińskiemu," polecił kupcowi ofiarować podwójną za konia summę. Ale przy koniu stał szlachcic dworzanin pana Zabrzezińskiego, i stanowczo oświadczył, owijając cugle na ręku, że konia jako własności swego pana nikomu nie wyda, nawet kniaziom z całego świata, a tym bardziéj kniaziowi Glińskiemu. Dumny magnat w miejsce odpowiedzi kazał kupcowi wręczyć czterysta dukatów, i przysunąwszy się bliżéj dworzanina pana z Zabrzegów, rzekł rozkazującym tonem.

„No! precz wasalu od mego konia."

Szlachcic powstrzymując spinającego się rumaka, lewą ręką nasunął czapkę na czoło, i odrzekł śmiało.

— „Prawda że jestem wasalem, ale wielkiego księstwa tak jako i wy. Wam zaś jestem równy rodem szlachcic któremu nic nie macie do rozkazania. Patrzcie więc sobie innych koni, a tu nie róbcie żadnych swarów."

Gliński dał znak i kilku z jego orszaku rzuciło się na śmiałego szlachcica z dobytemi szablami.— Ztąd powstał tumult, ale w téj chwili przybiegł cwałem w kilkanaście koni sam pan Marszałek wielki Zabrzeziński. i rozpoznawszy powód zamięszania, zwrócił się ku Glińskiemu, i z płomieniejącem od gniewu okiem rzekł:

— „To więc wy jesteście panie Gliński, co naruszacie spokojność stolicy i nie lękacie się sięgać po cudzą własność."

— „Ten koń do mnie należy, odrzekł Gliński z ponurym gniewem, a z waszym służalcem tak postąpiłem, jakbym rad postąpił i z panem jego."

— „Więc powiadacie, że koń do was należy, odparł Zabrzeziński ze wzgardą, nie, zaprawdę! tak zły los nie powinien spotykać dobrego konia, ażeby miał nosić was po drogach któremi chodzicie. Ja też nie pozwolę na to, boście mnie podkupili.'

I rzekłszy to, dobył pistoletu z olstry u siodła, dał z niego ognia. a szlachetny zwierz w ogromnym skoku z roztrzaskaną głową padł na ziemię bez życia.

Gliński wściekły zbladł i krzyknąwszy:

— „Za zniewagę tę, wnet mi zapłacisz nikczemny starcze," z dobytą szablą rzucił się ku orszakowi Jana z Zabrzegów. Z obydwóch stron błysnęły mordercze żelaza, bój miał się rozpocząć, gdy nagle rozległ się głos dzwonów kościelnych, i pokazały się tłumy ludu z białemi chorągwiami, poprzedzając processją duchowieństwa na czele któréj z krzyżem w ręku postępował powszechnie szanowany Wojciech Tabor biskup Wileński.— I w jednéj chwili poszanowanie religijne zwyciężyło, rozgorzałe serca zemstą i nienawiścią przycichły, zeskoczono z koni, pochowano szable do pochew, i z odkrytemi głowami, ukorzeni przed świętym obrzędem, obadwa orszaki połączyły się z posuwającym się i śpiewającym nabożnie tłumem.

(d. n.)

SKRZYPEK W SZALEŃSTWIE

(Do muzyki).

Wezmę ja sobie zielonéj lipki,
I z niéj głosiste wykleje skrzypki,
I zagram na nich sobie samemu,
A pieśń po świa tu pójdzie całemu.

Choć mówią ludzie, że pieśni plączę,
Że ile zacznę, żadnéj nie skończę,
Lecz to złośnicy i zazdrośnicy,
Jam pierwszy grajek w téj okolicy.

Chłodem i głodem przymarłem czasem,
Bo lasem, borem, borem i lasem
Szedłem przez puste życia bezdroże,
To za włóczęgę mają mnie może.
I z mojéj biednéj lepianki ściany
Nocą deszcz świszcze z gradem zmieszany
To może dzikie burzy téj dźwięki
Tak rozstroiły moje piosenki.

Było inaczéj, oj tam na błoni
Gdzie błyszczą kwiecie w cichéj ustroni,
Byłem szczęśliwy, ale w rozkwicie
Powiędły kwiatki, zamarło życie.

I jeszcze, jeszcze, ach cóż tam jeszcze?
Tak, jam zapomniał pieśni me wieszcze,
Lecz nie zginęła piosnki téj siła,
Tylko się w duszy mojéj uśpiła...

O Boże, Boże! wielki mój Boże,
Niechaj mi łaska Twoja pomoże
I niechaj duszę mą uspokoi
Do sfer niebieskich pieśń tę dostroi.

Jan Prusinowski.

---

*
* *

Chociaż już przeszły Święta Zmartwychwstania Pańskiego, i idąc za przyjętym zwyczajem kronikarzy tygodniowych całego świata, wypadałoby cóś Wam napisać jak dnie te uroczyste Warszawa przepędziła, ale w jednostajném życiu naszém tak chwile te mało się od innych wyróżniły, że do gawędy prawie żadnego nie dają materjału. W Piątek i w Sobotę pobożni przeciągali od Kościoła do Kościoła, zwiedzając grób Chrystusa Pana: w Świątyniach pośród ciszy i milczenia organów i dzwonków, słychać tylko było nabożne westchnienia, szept cichéj modlitwy, stąpania pielgrzymów po kamiennych flizach, i dźwięki pieniężnych ofiar składanych na tace chrześcjańskiego miłosierdzia. W same Święta Kościoły napełniły się tłumami pobożnych, a potém Warszawa ciesząc się prześliczną pogodą i wiosenném prawie ciepłem przystąpiła w rodzinnych kółkach do spożycia starodawnym zwyczajem przygotowanego święconego, które w skromnéj zastawie bab, placków, szynek i kiełbas strojąc stoły, czekało ze szczerą gościnnością na przybycie pokrewnych, przyjaciół i znajomych.

I tak w ciszy przeszły nam Święta, a ubiegający tydzień powołał znowu Warszawę do zwyczajnéj pracy i krzątaniny.

Przed Świętami jednak miał miejsce fakt nader uroczysty, serdeczny i rzewny zarazem; którego milczeniem pokryć się nie godzi. Było to we Środę dnia 1 Kwietnia. Artyści dramatyczni teatru Warszawskiego mając na pamięci, że w dniu tym jeden z ich kolegów, pan Jan Królikowski kończy lat 25 ciężkiéj, mozolnéj i niewdzęcznéj służby artystycznéj na deskach teatru, postanowili złożeniem życzeń dać mu dowód swéj pamięci opartéj na szacunku i przyjaźni. Pod pozorem mającéj się odbyć próby, wezwany do teatru ulubiony przez publiczność Jubilat, nad swe spodziewanie, zastał już wszystkich zgromadzonych kolegów, a gdy zdziwiony chciał zrobić zapytanie o objaśnienie powodu tak licznego zebrania, z rękami wyciągniętemi do szczerego ucisku otoczono go do koła, a pan J. Jasiński zasłużony artysta sceny Warszawskiéj, tłumacz i autor wielu sztuk grywanych w teatrze, zadeklamował wiersz następujący swego utworu, jako wyraz uczuć całego grona artystów.

Dziś ćwierć wieku, jak wszedłeś na artysty pole,
Z wiedzą, że dajesz życie pracy i nauce,
I łamiąc się z trudami, przeciwności, bole,
Ukochanéj sercem, poświęciłeś sztuce!
Wrodzony talent, duszy ogień święty,
Spotężniał w Tobie, walką rozwinięty;
Słuchaczy stał się zachwytem,
Dla Ciebie drogą do sławy,
Dla Sceny Polskiéj zaszczytem,
Dla młodszéj braci przykładem:
By w grze sumiennéj i prawéj
W poczuciu piękna sztuki, szła za Twoim śladem.

Następnie p. J. Chęciński artysta zarazem literat i pisarz dramatyczny odczytał prozą stosowne przemówienie do Jubilata, jasno w niém przedstawiając wszystkie zawody kolce i dolegliwości przez jakie przechodząc Solenizant, doszedł wreszcie do uznania ziomków, szacunku kolegów, i téj nie spożytéj zasługi, że pracą, poświęceniem oddaniem się zupełném sztuce, nie zmarnował talentu, jakim go Bóg obdarzył, i zużytkował go na korzyść ojczystéj ziemi. Zaiste, zasługa to niemała; zakulisowe ścieżki, to dnieprowe progi dla niejednego talentu o małym harcie duszy, p. Jan Królikowski wiele ich już szczęśliwie przepłynął, a choć nie dostał się jeszcze na obszar morski, ale mamy nadzieję że czas i tego dokona, i talent p. Królikowskiego

nowym zajaśnieje blaskiem, witany grzmotem oklasków i radosnym odgłosem tysięcy zachwyconych widzów. Życząc z serca jak najprędszego spełnienia tych nadziei, z artystycznego pola na którém słowo tak potężnym bywa działaczem, przejdę na pole pędzla zasilającego coraz nowemi pracami wystawę krajową sztuk pięknych. Nie wdzierając się jednak na stanowisko poważnego krytyka, najczęściéj brzękiem słów próżnych, szpikowanych technicznemi wyrażeniami, mamiących, krótkowidzących, i łatwowiernych, zrobię malutką uwagę tyczącą się wyboru przedmiotów, o czém już po razy kilka głos podnosiłem.

Ponieważ sztuka jest niejako uplastycznieniem myśli pewnéj, więc we wszystkich utworach czy pędzla, czy rylca, myśl ta stanowi ich duszę, a zmysłowa powłoka jest tylko wyrazem, środkiem, objawu jéj na zewnątrz. Myśli więc w obrazie wcale za podrzędną rzecz uważać nie należy, i wartość jego nie tylko stanowi praca pędzla choćby kierowanego ręką najpotężniejszego genjuszu, ale i wybór mysli, którą malarz przedstawić na płótnie postanowił. Kiedy więc myśl ze sztuką razem idą w parze, to im myśl ta jest piękniejszą, zacniejszą i szlachetniejszą, tym i obraz będzie milszy i piękniejszy, tym więcéj odpowiadać będzie przeznaczeniu sztuki, któréj zadaniem jest kształcić i podnosić ducha ludzkiego. Tymczasem malarze nasi i nienasi zupełnie zdają się zapominać o tém wzniosłem przeznaczeniu sztuki, i powiększéj części to, co w pamięci ludzkiéj zaginąć powinno jako szatańskie, nieludzkie i zbrodnicze, co jest hańbą i poniżeniem godności natury ludzkiéj, biorą za temata do prac swoich jakby dla złości, trzeba starania i zachęty, żeby rosła, rozwijała się i potężniała.

Uwagę tę mogącą być uważaną przez wielu za nieuzasadnioną nasunęły mi świeże doniesienia gazet o obrazach p. Piloty Gallejt niezmiernie chwalonych przez wszystkich zagranicznych znawców. Pierwszego z nich praca przedstawia krwiożerczego Nerona na ruinach płonącego Rzymu. Sprawozdawca dodając o nim wiadomość powiada, że obraz ten obwożony po Niemczech i na wystawie w Londynie tłumy ściągał widzów, co tak przerażający wystawia kontrast, tak silnie przemawia wiekuistą boleścią męczeństw, przeciw któréj staje zaskrzepła obojętność pychy, depczącéj ruiny, gruzy, ludzi, z niezbłagalném uczuciem jakiegoś fatalizmu. Orszak Nerona wśród tych zgliszcz, rodzina chrześcijańska z rezygnacją przyjmująca śmierć męczeńską..... w oddaleniu łuna pożaru, osłupiałe twarze orszaku tego tryumfatora, artystyczna całość kompozycji *zimnym przejmują dreszczem.*

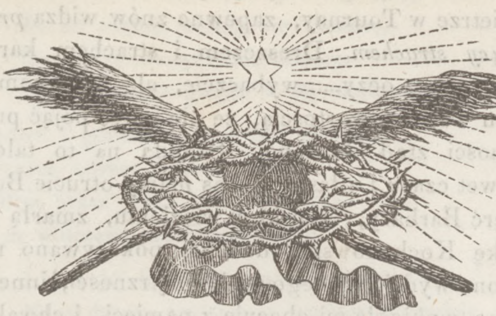
Obraz drugiego artysty przedstawia morowe powietrze w Tournay, zapewne znów widza *przejmujący strachem.* Dreszczem i strachem karmić dusze przez oczy..... wybaczcie, ale przyznam się Wam z całą otwartością, że nie mogę pojąć przyjemności ztąd doznanéj. Szkoda na to talentu a nawet czasu i atłasu. U nas mamy otrucie Bony, śmierć Barbary, Gliński w więzieniu, zmarłą Urszulkę Kochanowską, dawniéj pokazywano nam Katona wydzierającego sobie wnętrzności, i inne podobne, wybiegła mi obecnie z pamięci, i chwalono je, oglądano, rozpisywano się po gazetach, zapominając, że czem w literaturze styl i obrobienie, tém w malarstwie rysunek, pędzel i farby; że jak w pracy literackiéj myśli dążność dzieła są rzeczą najgłówniejszą, tak i w malarstwie to samo; wreszcie jak na pisarza opisującego same zbrodnie i okrucieństwa, powstanoby chórem i łajano o psucie serca swych czytelników, tak samo w malarstwie obieranie za temata nieboszczyków trucicieli, samobójców, okrutników, zniszczenia morowe i t. p. jest skażeniem gustu, i rzeczą równie godną wielkiéj nagany. Dlaczego jednak tak się dzieje? dlaczego malarze prawie powszechnie grzeszą wyborem przedmiotów? otóż jak mnie się zdaje, dla tego, że łatwiéj narysować trupa, którego każdy szpital dostarczy, jak żyjącego człowieka: że łatwiéj przedstawić na płótnie niezwykłe wykrzywienie twarzy z boleści, pasowania się ze śmiercią, albo szatański wyraz twarzy nikczemnika, jak szlachetne poruszenia duszy żyjącego człowieka. Historja podobnych tematów przedstawia niewyczerpaną liczbę, a jeżeli ujmuję się za niemi, to jedynie w gorącéj chęci, uszlachetniania i podnoszenia duszy moich rodaków, nie tylko nauką, ale i pędzlem i dłutem, słowem wszystkiem, co tylko do tego posługiwać może. Czy zaś sztuka tworząc powyżéj nadmienione obrazy, wypełnia wzniosłe swe posłannictwo, zostawiam to sądowi moich Czytelniczek.

SZARADA.

Pierwsza rzeka, ztąd daleka,
Lecz nie struga, ale druga,
W alfabecie, o tém wiecie,
Trzeci wsteczny, pokarm mleczny,
Wszystek trudzi, wszystkich ludzi.

A. T.

(Znaczenie przeszłéj Szarady.—**Potrzos**).



Wraz z Kwietniem wiosna rozpoczęła się na dobre, w miejscu kapeluszy aksamitnych pojawiają się coraz częściéj nie tylko jedwabne ale nawet tiulowe i krepowe kapotki. Na okrągłe kapelusze słomkowe, nie nadeszła dotąd pora, ale widziemy już sprowadzone ich modele do pierwszych magazynów naszych. U pani Klementyny, widzieliśmy między innemi, marynarskie kapelusze, z główką nizką, podłużną, i opuszczonem rondem; inne zwane korsykańskie, po bokach odwinięte do góry, z główką dosyć wysoką. Kapelusiki Alboni, małe, okrągłe, z rondem rozszerzonem z przodu, a zwężonem z boków, bardzo właściwe dla młodych panienek; nakoniec Hugonotki z wysoką główką, i wązkiem równem na trzy palce rondkiem, te ostatnie najmniéj nam się podobały.— W ogólności okrągłe kapelusze, okładają aksamitem i ubierają na wierzchu pękiem nie wielkich piórek strósich; niektóre zdobią jednem wielkiem piórem, lub dwoma odwróconemi od siebie, a spadającemi na obie strony.

Uważaliśmy w tymże magazynie ładne kapotki czarne mantynowe, przybrane z wierzchu koronką i piórkiem, podpięte w djadem, kwiatkami z drobnych piórek. Karczek u nich koronkowy klarowny, boki nagarnirowane czarną blondynką, szarfy szerokie czarne. Cena ich od złp. 60 do 72.

Podobał nam się także, kapelusz włosiany czarny z brzegiem klarownym, nagarnirowanym czarną gazą *Iris*, w fałdki. Podpięcie składało się z czarnych i białych kwiatków. Cena jego złp. 70.

Do najstrojniejszych należał kapelusz koronkowy czarny na czarnéj krepie, naciągany w rodzaju kapotki. Wierzch ronda ubrany był czarnem gronem z popielatemi liśćmi. Podpięcie składało się z takichże gron pomięszanych z czarną koronką. Szarfy *chinée* czarne z białym z brzegami czarnemi, ładnie odpowiadały cało ści.

Inny kapelusz także koronkowy na białéj krepie, przybrany był na wierzchu czarnem piórkiem przechodzącem przez rondo; z drugiéj strony spadał fałdowany koniec aksamitny, obszyty u dołu koronką. Diadem składał się z białych i czarnych kwiatów. Boki były białe, szarfy czarne.

Tenże magazyn zaopatrzył się w znaczny dobór woalików koronkowych, czarnych *Cambray*. Uważaliśmy pomiędzy niemi, zupełnie okrągłe, z wypuszczonemi z tyłu końcami do wiązania, stosowne do okrągłych kapeluszy. Cena ich od złp. 20 do 24. Inne znów woaliki w nowym zupełnie rodzaju, mają kształt fanszonika, z długiemi i szerokiemi końcami, końce te wiążą się na kokardę pod karczkiem można ich używać zarówno do okrągłych jak i do zwyczajnych kapeluszy. Mają do tego tę zaletę, że je łatwo zarzucić na głowę, po zdjęciu kapelusza. Cena tych ostatnich od złp. 28 do 32.

Pani Klementyna sprowadziła także znaczny zapas parasolików czarnych *en tout cas*, z ładną rączką rzeźbioną z drzewa, po złp. 30 do 45. Podbite materją białą, z ozdobną rączką kościaną, kosztuje od złp. 45 do 54. Dostać można także małych parasolek, właściwych do powozu, na rozmaite ceny.

Wielkie burnusy czarne wełniane, stanowić będą najmodniejsze tegoroczne okrycia. Do wyjścia na rano, używane także będą krótkie paletociki marynarskie, z *poult de soie*, lub z wełnianego rypsu, albo też paletociki z takąż samą spódniczką. Na teraźniejszą porę zalecamy ciepłe chustki wełniane, w pasy lub szkocką kratę, czarną z popielatem. Widzieliśmy piękne chustki w tym rodzaju, wyrabiane wypukło w czarny deseń.

U pani Sobolewskiéj, znajdują się także, ładne kapotki, z tiulu czarnego jedwabnego w drobny rzucik. Jeden z nich przybrany z wierzchu wielkiemi rozetami z czarnéj koronki, podpięty był w diadem bukietem z czarneg o głogu i z liści. Karczek miał wielki, koronkowy, przysłonięty kokardą.

Drugi podobny kapelusz, nagarnirowany był na wierzchu ronda, trzema rzędami fałdowanéj koronki, tworzącéj jakby wachlarz. Podpięcie składało się z czarnych i białych kwiatów. Boki nagarnirowane czarną blondynką, i szarfy czarne dopełniały całości.

Nowości Zagraniczne.

Magasin des demoiselles. Kaftaniczki Hiszpańskie zwane *Sénorita*, powszechnie używane do codziennego ubrania. Robią je z aksamitu, mantyny, kaszmiru lub sukna; te ostatnie zazwyczaj wy-

szywane sutaszem i perełkami z lawy. Noszą pod nie szmizetki żaknotowe lub muszlinowe, układane w pliski, albo ozdobione walansienką, z dosyć wązkiemi rękawkami. Przytaczamy ubranie dla dziewczynki sześcioletniéj; sukienka z popeliny wełnianéj w białą i czarną kratkę; stanik wycięty wyłożony czarnym aksamitem; na spódniczce z przodu trzy rzędy guzików aksamitnych. Koszulka biała półbatystowa z długiemi rękawami. Kapelusik czarny kastorowy z piórkiem.

Inne ubranie. Spódniczka popielata wełniana, obłożona skośną plisą jedwabną czarną. Odpowiedni krótki paletocik, kapelusik czarny okrągły z białem piórkiem.

BAWEŁNA.

Klęska jaka obecnie dotknęła przemysł skutkiem wojny amerykańskiéj nada znaczenie tem kilku słowom, które poświęcamy bawełnie.

Wyraz *bawełna* pochodzi z niemieckiego, od *Baum-wolle* co znaczy wełna z drzewa.

Krzew bawełniany (gossipium), należy do familji ślazów. Dzielą go powszechnie na trzy klassy; na jednoroczny, dwuletnie i trwały. Rośnie on w rozmaitych sferach, w Chinach, w Azji, w Krymie, w Afryce, w Japonji i t. d. ale od roku 1786, największa ilośc bawełny rozchodziła się po świecie, wyłącznie z Ameryki. Krzew bawełniany kwitnie w Czerwcu; w Sierpniu owoc dojrzewa zupełnie. Jest to torebka podzielona na pięć komórek z których każda zamyka w sobie kilka ziarnek szarych pokrytych puszkiem, puszek ten jest bawełną.

Bawełna dzieli się na dwa rodzaje, z długim i krótkim włóknem. Z pomiędzy pierwszéj najwyżéj ceniona rośnie w Georgji, na wyspie Bourbon, w Egipcie i Kajennie. Bawełna Georgjańska jest najcieńsza i najmiększa ze wszystkich; kolor ma żółtawy, jak świeże masło. Z wyspy Burbon, zaleca się nadzwyczajną równością. Egipska także bardzo cienka. Bawełna z krótkim włóknem uprawiana powszechnie w Stanach Zjednoczonych Ameryki, w Karolinie, Luizannie i Alabama.

Użycie wyrobów bawełnianych sięga najodleglejszéj starożytności. Za czasów Herodota wszyscy Indjanie odziewali się już w bawełnę. Na wiek przed Narodzeniem Chrystusa, istniały w Egipcie i Arabji fabryki tkanin bawełnianych, jednakże Grecy i Rzymianie mało ich używali, Chińczycy poczęli dopiero uprawiać bawełnę, po najeździe Tatarskim, w XIII wieku. W téjże saméj epoce wyroby bawełniane, były już ważnym przedmiotem handlu w Krymie, dokąd je sprowadzano z Turkostanu. Od dziesiątego wieku Arabowie uprawiali bawełnę w Hiszpanji, a w wieku XIV bawełna z Grenady, przewyższała gatunkiem wschodnią. We Włoszech fabryki wyrobów bawełnianych, istnieją także od początku XIV wieku; pierwsze z nich powstały w Wenecji i Medjolanie. Utrzymują że w XVI wieku istniały już w Anglji fabryki bawełnianego płótna, wspomina o nich akt parlamentu z r. 1552.

W roku 1767, wynalazek przędzalni parowych zwanych *mull jennys*, nadał w Anglji nadzwyczajny rozwój, téj gałęzi przemysłu. We Francji machiny te upowszechniły się dopiero w r. 1787, Wówczas to powstały słynne przędzalnie w Rouen, ale za cesarstwa dopiero ów przemysł nabrał większego nierównie znaczenia.

Dla dopełnienia téj krótkiéj wiadomości o bawełnie przytaczamy ustęp z mowy p. Drouyn de Lhuis, wyrzeczony na posiedzeniu publicznem, towarzystwa Zoologicznego aklimatacyjnego.

„Co do bawełny mówił on, lubo Grecy i Rzymianie używali wyrobów tkanych w Indji, Arabowie dopiero sprowadzili ją ztamtąd naprzód do Arabji, potem do Syrji, do Hiszpanji i Sycylji. Uprawa bawełny utrzymała się we Włoszech od XI wieku, podczas blokady na stałym lądzie, Włochy zaopatrywały w nią całą Europę, Dopiero od przywrócenia pokoju produkcja włoska, nie mogła współzawodniczyć z wielkiemi zasobami bawełny nadchodzącemi z Indji i Stanów Zjednoczonych. W Ameryce poczęto uprawiać bawełnę, nad rzeką Missisipi w r. 1621. Pierwsze krzewy sprowadzono tam z antyków Francuzkich do Georgji, W r. 1747 rachunki celne w Charleston świadczą że wyszło zaledwie 7 pak bawełny do Anglji. W r. 1800 wywóz doszedł 45,000 pak; cyfra ta zwiększyła się o dziesięć razy w roku 1820, i znow o tyle w r. 1860, W owym to roku produkcja, 60,000,000 hektarów, uprawnych pod bawełną, wartość dwóch miljardów frnnków, a na 180 miljonów kilogramów, jakie spożytkował przemysł Europejski, ośm dziesiątych pochodziło ze Stanów Zjednoczonych. Przesilenie jakie wynikło z wojny domowéj, w tychże Stanach, otworzyło oczy na niebezpieczeństwa grożące ztąd, że losy ludności Europejskiéj zależą od produkcji skoncentrowanéj w jednem miejscu. Okoliczność ta zachęciła przemysłowców do uprawiania bawełny, we wszystkich krajach, gdzie klimat stosuje się do tego. Widzieliśmy już próbki nadesłane ze wszystkich stron świata, a między innemi z Uragnay i Peru, nie mówiąc już o koloniach angielskich i francuzkich. Bawełna upowszechnia się dziś nawet u an-

typodów, a w Australji wyrównywa gatunkiem Georgiańskiéj.

Opis deseni do haftu.

N. 1. Deseń na poszewkę albo falbankę.— N. 2. Kołnierzyk marynarski, do ściegu przewłóczonego czarną włóczką.— N. 3. Mankiet. – N. 4. Kołnierzyk. Pęczki haftują się czarną cienką włóczką albo jedwabiem; liście białą bawełną.— N. 5. Kołnierzyk do haftu atłaskowego obszyty wązką walansienką. — N. 6. i 7. Kołnierzyk i mankiet z dubeltowéj weby. — N. 8. Kołnierzyk stojący z wykładanemi rogami.— N. 9. Mankiet.— N. 10. Narożnik do chustki od nosa.— N. 11. Sukienka dziecinna z popielatego rypsu, ubrana u dołu czarną materją. Pod stanik kładzie się biała muszlinowa bluzka, z długiemi rękawami. — N. 12. Penioar z popielatego mouseline de laine obszyty czarną aksamitką na trzy palce szeroką. Przody penioaru są gładkie i dochodzą do ramienia. Plecy fałdują się w głębokie kontrafałdy i przyszywają do karczka, który przykryty dosyć dużym kołnierzem objętym także aksamitką. Jeżeli wyrób wełniany jest cięższy jak *mousseline de laine*, wtenczas obszyć można penioar drobnym czarnym barankiem zamiast aksamitką. Spódniczka pod penioar biała półbatystowa lub z nandzuku powinna mieć przedni bryt w kształcie fartuszka *en tablier*, starannie ozdobiony w zakładki, falbanki haftowane i wstawki. Czepeczek muszlinowy w kształcie *chłopki* haftowany czarną i białą bawełną.— N. 13. Suknia czarna jedwabna, naszyta u dołu koronką gipiurową na trzy palce szeroką, albo wązkiemi falbankami jedwabnemi. Powyżéj dane są słupy w kształcie klapek z aksamitu albo też z téj saméj materji co suknia garnirowane koronką albo falbaneczką. W pośrodku słupów daje się rząd guzików. Na staniku gładkim ranwers formuje pelerynkę. Rękawy skośno krajane paltotowe odpowiednio ubrane jak spódnica. Na głowie siatka jedwabna garnirowana koronką. — N. 14. *Ubranie panienki 13-sto letniéj.* Suknia czarna lustrynowa naszyta u dołu wązką aksamitką w krateczkę. Kaftanik *boléro* dochodzący tylko do stanu z krótkiemi epoletami, ubrany aksamitką i bombkami jedwabnemi. Bluzka pod spodem biała półbatystowa z długiemi rękawami.— N. 15. 16. i 17. Desenie na falbanki. — N. 18. i 19. Desenie do wyszycia Garybaldek tybetowych białym jedwabiem.— N. 20. Litery T. G. W. F.

Opis sukienki, majtek dla chłopczyka i kaftanika postyljońskiego.

N. 1. Przednia część sukienki z czarnego rypsu układana w fałdy; z jednéj strony przyszywa się rząd guzików lawowych, z drugiéj robią się dziurki. — N. 2. Plecy.— N. 3. i 4. Rękaw z wykładanym mankietem.— N. 5. Przednia część majtek, także z czarnego wełnianego rypsu. — N. 6. Druga część majtek. — N. 7. Pasek. N. 8. Całość sukienki. — N. 9. Kaftanik postyljoński z czarnéj rypsowanéj syberyny. Przednie części naśladujące kamizelkę zrobione są z czarnéj materji wyszyte gęsto sutaszem. — N. 10. Druga strona kaftanika postyljońskiego. Plecy i mankiety u rękawów naszyte są materją i sutaszem.



Od S. T. S. złożono na kościół panien Marjawitek złp. 133 gr. 10, i na ołtarz świętego Józefa w tymże kościele złp. 66 gr. 20.— Pani Ma. Maza. pieniędzy na papier ani na nasiona nieodebraliśmy. Nasza należność wynosi złp. 26 gr. 28.— Pani Kry. Kar. albumik z fotografjami, który kosztował złp. 6 gr. 20, odesłaliśmy do magazynu pani Klementyny. — Za rękawiczki odebraliśmy złp. 126 gr. 20, późniéj przysłane złp. 66 gr. 20 nie doszły nas.— Panu Julja. Chmie. złp. 60 na sprawunek nieodebraliśmy, tylko złp. 50 na prenumeratę.— Pani Fausty. Rogal. nieakuratne odbieranie Tygodnika Mód zupełnie nie z naszéj pochodzi winy, starać się jednak będziemy zadosyć uczynić życzeniu pani. — Pani Ma. Wykow. złp. 226 gr. 20 odebraliśmy, sprawunek zaraz wysłany został.— Pani Emi. Bra. Pieniądze zapewne zalegają na poczcie w Płoskirowie, bo dopiéro z listu pisanego 12 Marca dowiedzieliśmy się o żądanych sprawunkach.— Od Pani Emi. Kun. odebraliśmy złp. 13 gr. 10 na kościół panien Marjawitek.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołączają się desenie do haftu oraz opis sukienki, majtek dla chłopczyka, i kaftanika postyljońskiego. Nr. 82.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 15 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 11 Kwietnia 1863 roku. *30 Marca.*

MROWIN I TROCK.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

CZĘŚĆ I.

Fit retribution.

Lord Byron.

(Dalszy ciąg).

Znowu chwilowe nastąpiło milczenie.

— Panie bolałyście bardzo, opuszczając rodzinną siedzibę.

— Och, ponad wszelki wyraz — i w tych wyrazach płacz wewnętrzny, płacz serca odbrzmiewał.

— Pani tam ukochałaś zakątek każdy.

— Wszystko w Mrowinie było tak miłe, tak drogie .... i tak piękne dla mnie!

— I miałaś tam pani także swoje Nastki?

— Zapewne. Lud tam taki jest dobry poczciwy! — zawołała Anna z uczuciem — aby przynajmniéj pod dobrego dostał się pana!

— O, jestem pewny, że Alfons żadnéj nie dopuści krzywdy, że będzie sprawiedliwym i względnym. Jest-to pieszczota, szczęściem nieco zepsute dziecko, ale dobry chłopiec ... pomimo całéj lekkości umysłu — ostatnie wyrazy wymówił ciszéj, niby wahająco się, i znowu przeciągłe na niéj zatrzymał wejrzenie.

— Daj Boże, by dobrego mieli pana!

— Pan Rożniszewski także jest względnym dla ludu wiejskiego .... Mrowin wszelako i dobra Żarczyńskie staną się własnością Alfonsa.

Umilkli na chwilę — a potém znowu Stanisław zagadał:

— Pani przez Alfonsa będziesz z Mrowina wiadomości miewała: zapytasz go o swoje Nastki dawniejsze, o wszystko.

— Och, nie! — zawołała pomimowolnie.

— Dlaczegóż *nie*? — lica Stanisława zajaśniały niby.

Anna milczała — a pan Stanisław po raz drugi nie pytał, i znowu chwilowa nastąpiła cisza. Potém rozmowa na inne przeszła pole, więcéj obojętne ale zajmujące, bo o płodach krajowego piśmiennictwa.

Stanisław to z jednego to z drugiego autora parę piękniejszych przytoczył urywków.

— Czy pani pamiętasz w Kordyanie:

Ciemny się błękit nieba wyświeca za mgłami,
Ah księżyc! .... księżyc srebrny, pełny
. . . . . chmur srebrzyste wełny
Spadły nań — leci jakby wyrywał się z chmury;
Teraz go na pół gałąź rozcina spróchniała,
Teraz śród czarnych liści krąg chowa ponury ....

— Jakież to cudnie obrazowe, malownicze! — zawołał. — Są chwile w życiu w których wszystko kształt wybitniejszy, barwniejszy przybiera, w których wszystko w około staje się czarem niby i nazawsze wraża się w pamięć. Słowacki w takiéj chwili, duszą zachwycił te *chmur srebrzystych wełny*, ten księżyc, *jakby wyrywał się z chmury*, który *na pół gałąź rozcina spróchniała* ..... Patrz pani! — wymówił nagle głosem dziwnie wzruszonym niby. Patrz pani! słońce zniża się ku zachodowi, ognistą jego głowę przerzynają dwa smugi chmurki czarniawe, na niebie zróżowionym rysują się obok ciemne wierzchołki drzew w górę wybiegłych .... Śliczny to także obrazek!

Anna spojrzała ku zachodowi, lica jéj były więcéj rumiane jak zwykle — lecz może to przedzachodnie skrasiło ją światło.

W milczeniu doszli do końca lasku — oddzielonego rowem od ogrodu, przez który mostek z białéj brzeziny prowadził.

— Tutaj panią na chwilę pożegnam — ozwał się Wojarowski. — Do zobaczenia!

— Do widzenia — odszepnęła Anna.

Stanisław konia dosiadł, raz jeszcze słomkowego kapelusza uchylił — i szybkim napowrot puścił się kłusem.

Anna także przyspieszyła pochodu — było jéj ciężko jakoś, a niby szczęsnie — dziwnie jakoś—

niepokojąco i błogo zarazem. Widziała ten księżyc Słowackiego, który *sucha gałąź rozcina*— a snuło się bezprzestannie przed oczami *słońce zachodzące, przedzielone dwoma smugami chmurki czarniawéj*.....

Szybko przebiegła ogród. Pośpieszyła do swojego pokoju, rzuciła się na kanapkę, zacisnęła dłońmi oczy — i zapłakała. Dla czego? Nie wiedziała sama — ale nie były to wszelako łzy smutku lub żalu — i raczéj płynęły z potrzeby serca, wywołanéj jakiemś nieznaném jéj szczęsném uczuciem — szczęsném a pełném niepokoju dziwnego.

Po dość długiéj chwili wezwano ją na herbatę. Poprawiła naprędce kołnierzyk przygładziła włosy i zeszła do salonu. Zastała pana Stanisława w ożywionéj z Klementyną rozmowie. Powstał gdy weszła i skłonił się w milczeniu.

Anna pokryła pomięszanie swoje — lecz serce jéj uderzało gwałtownie: wyrzucała sobie że oboje nic o spotkaniu się w lesie nie mówią; dręczyła ją ta spólna tajemnica — i przez cały wieczór w zamyślenie wpadła, z którego zresztą i nie wyrywano jéj bynajmniéj.

Pan Stanisław był więcéj mówiący jak zwykle — i wesół.

Z notatek Anny

17 września

„Jestem pod nader dziwnem wrażeniem...... Jakżeż-to trudném niekiedy staje się położenie nasze!... Nietrzeba mi było mówić panu Stanisławowi o Mrowinie — przypuściłam go do jakiejś tajemnicy bardzo niewłaściwie!.... Mysl ta mnie dręczy. Coby téż mama powiedziała na to?!— I to spotkanie — ta spólna przechadzka dla drugich jest tajemnicą! — O Mrowinie wymówiło się niechcący.... Czy tylko naprawdę niechcący? — Sama nie umiem sobie odpowiedzieć na to. — Towarzystwa jego przez lasek nie mogłam odmówić.... Nie mogłam?! — Och, byłabym mogła — i byłabym nawet powinna.... Zastraszył mnie tym jakimś włoczęgą — ależ ja nie bałam się wcale! — i jutro znowu pójdę. — Pójść czyli nie pójść? — To jakby ono Hamletowskie: *Or be, or not to be?* — Jestem dziwnie zniepokojona — zmącona — rozstrojona — a jednakżeż inaczéj nie mogłam uczynić! Gdybym panu Stanisławowi była podziękowała za jego towarzyszenie mi przez las — niebyłabym popadła i w tę drugą winę wygadania się o Mrowinie: jedno pociąga drugie za sobą. Jedna wina wywięzuje drugą — a to wszystko jest niedobre!"

Anna porzuciła pióro niezadowolona sama z siebie — zniepokojona — wzruszona — niby uszczęśliwiona a nie wesoła. Przebiegła parę razy pokój, potém wzięła z pułki Słowackiego — jakby mimowoli poszukała owego powyżéj przez pana Stanisława wygłoszonego ustępu i przeczytała.

Stanisław opuścił kilka wyrazów:

Patrz tam pani! księżyc srebrny, pełny.
Stanął i patrzy na nas......

Opuścił umyślnie — przez względność — to *na nas* — by wprost do niéj tego nie stosować!— Skłoniła na dłoń czoło — i dumała. Petém powstała — przeszła się znowu parę razy; stanęła przy oknie otwartém — i w ciemny patrzała się błękit. Jawił się przed wzrokiem jéj duszy ów księżyc, co go *na pół gałąź rozcina spróchniała*— a potém jaśniéj, wyraźniéj, barwniéj, cudnie, uroczo, *ognista głowa słońca, przedzielona dwoma smugami chmurki czarniawéj*.... —i znowu podumała— a długo — sama niewiedząc o czém! — A może i wiedziała trochę — lecz wiedząc nie wiedziała— i nieśmiała wiedzieć.

Z notatek Anny.

18 września z rana.

„Nie! nie puszczę się więcéj na tak daleką, samotną przechadzkę. Żal mi tych moich wędrówek do lasku — z myślami tylko mojemi — z wspomnieniami z przeszłości — i z marzeniami na przyszłość! — Byłam zawsze z mamą, z babką i Julką — i z pamięcią o ojcu! — Marzyłam, że to po Mrowińskim biegam polu. — Och i różne, przeróżne snuły się w duszy mojéj obrazki i obrazy — lube, wdzięczne, a niekiedy i tak piękne— tak wielkie..... niby ślub przeszłości z przyszłością! że aż wszystko w około nowém zawrzało życiem — zawoniały rośliny i kwiaty — i ptastwo w powietrzu dziękczynnym hymnem ziemi zawtorowało. — W czystém polu w zielonym lesie — więcéj z naturą, to i bliżéj niby tych wszystkich cudów. — Ale żegnam was lube, samotne przechadzki! — Będę chodziła po ogrodzie— lecz to już nie będzie tak miło. — Byłoć-to i naprawdę nierozważnie, żem tak puszczała się sama: babka przyganiłaby mi z pewnością, a mama pochwali, żem się zrzekła tych miłych ale niebezpiecznych dla mnie przechadzek. Jakżeż byłabym się zmięszała, gdyby mnie kto był spotkał w towarzystwie pana Stanisława!.... Aż mnie przeraża myśl taka! Na kłopoty podobne nie należy się narażać nigdy — i cięży mi tajemnica tego spotkania — i płonę na to wspomnie-

nie. — Oj! zanim coś uczynimy, potrzeba zawsze pierwéj zastanowić się nad tém: czyli nam to osoby ukochane i o naszę dolę troskliwe pochwalą.

Nastkę uprzedzę, by z elementarzem przychodziła do mnie, do ogrodu. Usiądziemy w kiosku, w altance — albo téż po za mostkiem, pod starym dębem. To mnie z tą *rezygnacyą* moją pogodzi nieco.

Mieli słuszność najzupełniejszą, zacny proboszcz i pan Stanisław gdy mi odradzali tych samotnych przechadzek.

Mój rysunek wcale udaje się nieźle i jest bliskim wykończenia."

Anna wzięła się do rysunku — ale *jakoś* dziś nie szło: może poranek mglisty za mało dawał światła — a przytém nasuwało się w myśli wczorajsze słońce przedzachodnie, przedzielone dwoma czarniawemi chmurkami. Bywa to tak czasem, gdy coś, niby pomimowolnie wplącze się wpamięć. Złożyła rysunek — zeszła na dół — wzięła klucz z przedpokoju, cichutko udała się do biblioteki; czytaniem czegoś poważnego chciała myśli uspokoić zmącone — istnie jak pan Stanisław!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Biblioteka Warszawska—Marzec —

We wstępnym artykule Słowo o urządzeniu szkół ludowych przez Wł: Zawadzkiego, autor przyjmując plan skreślony w wieczorach Karlsbadzkich przez Krystopora (ś. p. T. Potockiego). Kładzie za główną zasadę aby wychowanie ludu ściśle zastosowane do stanu i życia włościańskiego nie było przygotowaniem do wyższéj oświaty, ale stanowiło samo w sobie oddzielną całość.

Radzi przeto autor zarządzenie szkół trojakich: 1. szkoły wiejskie elementarne 2. szkoły rolnicze włościańskie i 3. szkoły rzemieślniczo włościańskie. Nie czas i nie miejsce obszerniéj pomysł ten rozbierać, ale zdaje się nam że taka jakaś wyłączność oświaty, a raczéj tresunek edukacyjny ludu trąci niezmiernie chińszczyzną, co to urodzonemu na wodzie, nie wolno na ląd się przenosić, a synowi np. krawca nie wolno być szewcem, tylko krawcem koniecznie. Edukacya może być tylko jedna dla wszystkich, jak jest dla wszystkich jedynym ojcem Bóg; to jest: elementarna, przygotowawcza i specjalna, czyli szkółki, gimnazja, szkoły wyższe albo akademje. Gdyby bowiem była prawda że dla ludu jako przyszłych rolników trzeba innéj edukacji elementarnéj, to ile stanów jest między ludźmi, tyleby trzeba wymyślić osobnych początkowych edukacji, i urządzić szkoły urzędnicze, kupieckie, prawnicze, rzemieślnicze, stróżów kamienicznych, lokai, kucharzy, woziwodów, traczy, furmanów, próżniaków salonowych i. t. d. O tem jednak nikt jeszcze słówka nawet nie wyrzekł, a choćby wyrzekł toby go poczytano warjatem. Dlaczegóż więc lud wyłączać z ogólnego prawidła?

Jeżeli powoduje do tego obawa umniejszenia rąk do pracy ciężkiéj koniecznych, to obawa ta próżną jest i bezzasadną. Zdolności bowiem umysłowe, ludzie nie w jednym posiadają stopniu i tak podobno nazawsze pozostanie, zdolniejsi więc pójdą do innego zatrudnienia, a silniejsi ręką jak głową, pozostaną zawsze przy pługu i siekierze. We wszelkich urządzeniach społecznych prawda przedewszystkiem powinna przewodniczyć przyjmując więc jedność natury ludzkiéj, winniśmy przyjąć i jedność w sposobie rozdzielania oświaty. Niebezpieczeństwom socjalnym, o jakich autor wspomina, nie położy tamy jakieś subtelne kierownictwo myśli od dziecka, aby na wszystko patrzyło okiem swych nauczycieli, ale oświata dobra, prawdziwa, która każdą pracę uszlachetnia i podnosi, a tylko brzydzić się każe próżniactwem i pasożytnością.

Nie zgadzając się na zasadę, zgodzić się także trudno i na plan ku niéj rozwinięty. Szkółki elementarne wiejskie jak je Autor przedstawił pojmujemy zupełnie, bo plan ich żadnéj nie przedstawia

wyłączności i przydatnym jest dla wszystkich wchodzących do przybytku nauki. Szkół jednak rolniczych włościańskich, pojąć żadnym sposobem nie mogę, bo kto chce uczyć się rolnictwa, to czy aki czy owaki, uczyć się go musi na jeden sposób. Szkoły rolnicze mogą być niższe i wyższe, ale nie włościańskie albo inne jakie.

Kto więc pragnie dobrego urządzenia oświaty kraju, niechże jéj przedewszystkiem nie dzieli na stany, i przyjmię jedną dla wszystkich zasadę, nauki elementarnéj, przygotowawczéj i specjalnéj. Rolnictwa ani rzemiosła w szkółce nie nauczy się uczeń, kto zaś chce zostać prawdziwym agronomem, to wprzódy musi odbyć wszystkie przygotowawcze kursa, żeby się uzdolnić do korzystnego słuchania nauk w związku zostających z rolnictwem.

Agronomja bowiem to nauka jeszcze obszerniejsza jak medycyna, a jeżeli nikt nie pomyślał o założeniu szkół wieśniaczych medycznych, to dlaczegóż planować jakieś tam szkoły rolnicze albo rzemieślnicze. Szkoła zaś rolnicza z początkowym tylko wykładem nauki agronomicznéj, żadnéj nie przyniesie korzyści, bo ucznia mało nauczy, więcéj obałamuci, a w reszcie nigdy nie zastąpi praktyki.

Zakładajmy szkółki, ale z myślą prawdziwą chrześcjańską, aby z niéj wyprowadzić dzieci tam, do czego je Bóg przeznaczył. Nie mówmy im, że muszą pracować jako dzieci wiejskie, ale jako ludzie, którym próżniakami być nie wolno: uczmy przytem słowem i przykładem, że każda praca jest szlachetna, że ta jedynie uszlachetnia i uszczęśliwia ludzi, słowem budujmy oświatę na prawdzie, nie na naciąganych sofizmatach, a o przepełnienie świata uczonemi możemy być zupełnie spokojni. Przy gruntownéj oświacie, rąk do pracy nigdy nie braknie, z fałszywéj tylko wyradza się niechęć i niezadowolenie.

Zgadzam się z Autorem, że póki świat będzie swiatem, póty będzie potrzeba oddzielnéj klassy mieszkańców, którzy wyżywieniem reszty trudnić się będą, ale klassyfikacyi takiéj niech dopełnia sama Opatrzność, zdolności umysłowe nierówno między ludzi rozdzielająca, a nie przymus i z góry zaprowadzone urządzenia edukacyjne. Talent wprawdzie i genjusz zawsze wydobędą się na wierzch, ale dla czegóż rozmyślnie stawiać im do tego przeszkody? Rozdział więc na klassy, naturalnym odbywany porządkiem z pewnością nie wywoła niechęci, bo co wyższe, pójdzie tam, do czego zdolne i czego pragnie, niższe pozostanie przy pracy fizycznéj i pogodzi się z losem swoim jako wynikającym z przeznaczenia Boskiego.

Przedstawiając Autor z przeszłości wszystkie usiłowania kraju o podniesienie oświaty ludu, powiada że te nie przyniosły żadnéj korzyści, bo uczono w nich czytać tylko dlatego żeby przyszły rzęmieślnik, przyszły rolnik umiał czytać książkę do nabożeństwa, książkę jaką ascetyczną, godzinki, kantyczki i. t. p. Autor potępiając bardzo słusznie taką dążność, radzi znowu już nie dla nabożeństwa ale tylko dla zyskania chętniejszego w ludzie robotnika. Dążność więc przeszłości ascetyczna, zastąpiona ideą pracy, jedno złe zastępujemy drugiem więcéj zgodnem z naszym interesem, zapominając że celem oświaty jest wydobywanie i kształcenie zdolności ludzkich w kierunku przez Opatrzność wskazanym. Ten do pługa, ów do książki, ten do pióra, inny do warsztatu.
